Biblioteka Muzeum Okręgowego w Przemyślu
21634
4729 ćwk 2,-

List Józefa Piłsudskiego

do Profesora N... w Krakowie.

Warszawa 15/III 1917 r.

Kochany i Szanowny Panie Profesorze.

W odpowiedzi na Pańskie zapytania, które—rozumiem, że są męką nie Pana jednego, spieszę skreślić parę słów. Być może, że się wydadzą one niedostatecznie jasne; niech trudne położenie, w jakiem się znajduję, usprawiedliwi mnie pod tym względem.

Gdym 6 sierpnia wyruszał w pole, obliczałem wiele przeszkód materyalnych i moralnych, które napotkam na swej drodze, ujmowałem w rachubę opór bierności i niechęci ze strony społeczeństwa, zamało jednak brałem pod uwagę stanowisko tego, co z konieczności stanowić musiało *vis maior* całego przedsięwzięcia — stanowisko tego czy innego państwa, przy pomocy którego siła polska wyrosnąć mogła.

Teraz po dwóch latach ciężkich doświadczeń i prób, jeżeli powiedzieć o sobie mogę, że wróciwszy z tem doświadczeniem powtórzyłbym z pewnością próbę 6 sierpnia 1914 roku, to zarazem byłbym znacznie ostrożniejszym w metodzie przeprowadzenia zamiarów. Cała sprawa, jak mi się zdaje, polega na następującem. Oba państwa centralne nie mogą w jednej chwili zmienić zasadniczych rysów polityki swej względem Polski, polityki, która w pierwszym rzędzie odznacza się szaloną nieufnością względem Polaków. Nieufność wywołuje przy każdym kroku tysiące zastrzeżeń, które znów natrafiają na użyźniony stuletnią pracą grunt tradycyi stosunków austro-niemiecko-polskich. To znaczy, że każdy krok, każdy środek już w swem założeniu a tembardziej w realnem przeprowadzeniu natychmiast wywołuje antipolskiego wilka z lasu, wilka przyzwyczajonego zdawna szczerzyć zęby, nigdy zaś — szanować odrębność kultury narodowej, czy poczucie godności i honoru narodu polskiego. W ten sposób zawsze ma się wrażenie, że oba państwa centralne systematycznie jedną ręką niszczą to, co drugą usiłują budować. W chwilach zaś kryzysowych, zastrzeżenia te i nieufność doprowadzają często do położenia, gdzie się wprost zatraca minimum polskości w sprawie i człowiek staje w położeniu jakiegoś Botokudy lub Syngaleza, względem którego uprawiana jest polityka kolonialna z całą swoją krasą i jędrnością.

Jestto jedna strona sprawy, druga leży w nas — Polakach. Tu mamy do czynienia ze zjawiskiem wychowania w niewoli, w systemie ugody ze wszystkiemi i ze wszystkiem, bez honoru i godności, z poczuciem lęku przed każdem większem zadaniem, branem na własne barki. Nie przypominam sobie w ciągu ubiegłych paru lat ani jednej chwili, ani jednego kroku, który nie był nacechowany tą swoiście polską cechą konkurencyi in minus, licytacyi prowadzącej nie do góry, ale odwrotnie zmierzającej do dołu. Gdy tylko kto gdzie wystawi jakie żądanie, znajdzie zaraz mnóstwo „doświadczonych“ ludzi, którzy orzekną, że jest ono za wysokie, że go z tej czy innej strony obciąć należy, aby było „realnem“,

ba znajdzie się natychmiast grupa czy człowiek, który zaofiaruje swe „usługi“, aby uczynić żądanie bardziej *mangeable*, a stanowisko tych, od których się żąda, bardziej „wygodnem“. Jeżeli mówię „wygodnem“ i stawię cudzysłów, czynię to rozmyślnie, nie mogąc dla określenia pojęcia znaleźć innego słowa. Ta metoda nie posuwa nigdy ani o jeden cal żadnej sprawy naprzód, przeciwnie — jeszcze bardziej wszystko gmatwa; nie czyni żadnego realnego kroku dla ujęcia jakiejkolwiek sprawy w sposób dogodniejszy pod względem politycznym chociażby jednostronnie dla któregokolwiek z państw centralnych, zadawala jedynie instynkty kolonialnego stosunku do Polaków, pozostawiając treść rzeczy zupełnie na boku, gdyż ostatecznie Polacy Botokudami ani Syngalezami nie są i na wszelkie „kolonialne“ metody odpowiadają zwykle zwiększonym oporem bierności i wzrastającej niechęci do wszelkiej nowej próby.

Tak było w ciągu ubiegłych dwóch lat z polityką i ideją zwaną w Galicyi „legionową“, tak samo jest teraz z inną polityką, zwaną „realizacyą aktu 5 listopada“.

Dla człowieka, jakim jestem, wyrosłego z walk, położenie jest nadzwyczaj ciężkie, gdyż w atmosferze, w której kształtował się mój charakter i metody pracy, przyzwyczajony jestem do zawierania jasnych i dokładnych umów, do szanowania tych umów bez *ariere pensèe*, lecz zarazem żądającego uszanowania i wszystkiego, co jest honorem i poczuciem godności u siebie. Zarazem nie umiem nigdy przystosować się do metod trochę tracących Syngalezem, gdzie po zrobieniu wielkiego krzyku wewnątrz — nazewnątrz wszystko wydaje się podobnem do pieszczotliwej fali, łagodnie szemrzącej u stóp pałaców.

Tyle co do ogólnego stanu rzeczy. Co się tyczy spraw Legionów, o które Pan pyta, drżę o to, by raz jeszcze na barki młodych żołnierzy nie spadła jakby kara za to, że wśród biernego i nie szanującego siebie społeczeństwa byli uosobieniem walki czynnej o prawa i honor narodu. Drżę tembardziej, że nie jestem z nimi, by w ciężkiej chwili próby być im pomocą i ostoją, lub przynajmniej znosić razem z nimi ciężki krzyż, który wypadło im nieść na barkach. Rozumie Pan dobrze, że dotąd najbardziej z nimi jestem związany i chociaż los kazał mi być w obecnej chwili politykiem, to serce i uczucie ciągnie mnie tam, gdzie są oni, drodzy żołnierze i towarzysze broni, Dotąd jestem o tyle z nimi, że los swój najściślej wiążę z ich losem, z nimi upadam, z nimi się wznoszę. Naturalnie mówię o żołnierzach, nie o tej zarazie hańbiącej żołnierstwo, o „bohaterach tyłów“, stanowiących przekleństwo losu polskiego żołnierza wielkiej wojny światowej XX stulecia.

Pyta Pan o P.O.W. Naturalnie, stanie się tak, jak Pan przypuszcza. Z chwilą rozkazu Rady Stanu, staną oni pod broń, tak jak ongiś w sierpniu stanęli strzelcy na mój rozkaz. Te nowe żołnierzyki są szczęśliwsi teraz od swych poprzedników, gdyż mogą usłuchać wezwania swego rządu, gdy tamci są dotąd zależni od wszystkich na Bożym świecie, tylko nie od tego do czego tęsknili w bojach krwawych, nad czem ich mózg się biedził w trudach bojowych, — od własnego polskiego rządu, któremuby przysięgli na wierność do grobu i za grobem.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania

J. Piłsudski.